

Podumania dźwiękochłonne (3): 100 lat muzykologii polskiej

c o m e s

Rozpoczęło się drugie stulecie polskiej muzykologii. Oznacza to, iż pierwsze mamy już za sobą. Zaintonowanie „Sto lat” byłoby tu co nieco spóźnione. Chyba, żeby odnieść je do zapoczątkowanej właśnie drugiej setki. Obchody stulecia – jak przystało na tak czcigodny jubileusz – miały dwie odsłony. Pierwszą w Krakowie, w listopadzie roku 2011, zorganizowaną wspólnie przez Katedrę Muzykologii Uniwersytetu Jagiellońskiego i Sekcję Muzykologów Związku Kompozytorów Polskich, drugą w Radziejowicach, w październiku roku 2012. Tu organizatorami były: wspomniana Sekcja Muzykologów ZKP oraz Narodowy Instytut Fryderyka Chopina we współpracy z Instytutem Muzykologii Uniwersytetu Warszawskiego.

Dlaczego obchody dwukrotne? Może dlatego, iż w roku 1911 muzykologicznie zaistniał Kraków z Jachimeckim, a rok później Lwów z Chybińskim, co dało polskiej muzykologii mocne, bo zbudowane na dwóch filarach fundamenty. Sąsiedztwo tych wydarzeń było przed stu laty i jest dziś na tyle bliskie, iż nie pozwala mówić o jednym bez drugiego, a zarazem – jak się okazuje – na tyle odległe, że uniemożliwia ich połączenie, choćby symboliczne, z uroczystej okazji. Tym bardziej, iż oba ośrodki głosami swych założycieli szybko weszły w polemiki, odmiennie postrzegały muzykologiczne priorytety, toczyły twórczy spór o formułę dyscypliny... Kraków i Lwów (a później Poznań). Można by rzec: dwie nogi polskiej muzykologii. Owo obunożne oparcie, zwykle pożądane w przyrodzie, w innych obszarach nie zawsze wszak znajduje uznanie. Pojawia się bowiem problem dla obu nóg (ale też dla chodzącej na nich istoty, tu: dyscypliny naukowej) podstawowy: ‘prawicy’ i ‘lewicy’. Która zatem muzykologia: krakowska czy lwowska miałaby być ‘nogą prawą’, a która ‘lewą’? A czy prawa („prawicowa”) lepsza od lewej („lewicowej”), czy na odwrót? Dylematy mnożą się i nie tu miejsce (i czas), by je choćby stawiać, nie mówiąc o rozwiązywaniu. Ale dylematy i polemiki (także te ‘historyczne’) stanowią przynajmniej o jednym: że muzykologia polska żyje, działa, myśli, angażuje się. Słowem – jest aktywna, nieobojętna, widząca w swych poczynaniach korzyści, sensy, idee i wartości.

Obie jubileuszowe odsłony, choć różne w formule, odbyły się w trybie wystąpień naukowych, w duchu wspomnieniowym, w atmosferze spotkań towarzyskich, a w ogólności w klimacie intelektualnego wyrafinowania, szlachetnej radości i refleksyjnej nieco zadumy. Było tak

zarówno w obecnej siedzibie muzykologii krakowskiej, w Pałacu Pusłowskich (wspaniałe piwnice – kto był, ten wie, o czym mowa!), jak i w urokliwej scenerii pałacu i parku w Radziejowicach. Szkoda, że ‘stulecia’ przypadają tak rzadko, że tylko raz w życiu udaje się być ich świadkiem (a i to nie wszystkim, zatem obecni na jubileuszu mogą czuć się swoiście wyróżnieni).

Jaki temat, motyw czy zagadnienie podjąć w tak uroczystej i dziejowej chwili, na granicy dwóch stuleci, nie chcąc brzązować, a mając do dyspozycji formułę tekstu z gatunku lżejszych, ale też nie całkiem błahych? To trochę zadanie w rodzaju: podjąć – nie podejmując, komentować – nie komentując itp. Stulecie polskiej muzykologii – choć przez pojedynczych muzykologów niedoświadczone przecież w całej swej czasowej przestrzeni – jako świadectwo wpływającego czasu w sposób naturalny kieruje ku przeszłości, przywołuje momenty znacznie krótszych, ale mierzonych już wszak kilkoma dziesięcioleciami, indywidualnych „muzykologicznych życiorysów”. Wiele tu zapamiętanych sytuacji, wiele wątków i refleksji... Także tych, które – mimo pozorów anegdotyczności – tyczą spraw podstawowych. Na przykład kwestii współczesnej tożsamości muzykologii. Rzecz to ważna i poważna, która w kontekście jubileuszu pewnie nie raz pojawi się w muzykologicznych publikacjach i debatach. A zindywidualizowana, może znaleźć się też na gruncie felietonowym.

Pamiętam egzaminy wstępne na muzykologię. Obok będącej na tym samym wydziale historii – resztę dyscyplin (archeologię, historię sztuki, etnologię i muzykologię) określano jako ‘małe kierunki’. Istotnie, nawet wzięte razem stanowiły one niewielką jedynie część Wydziału Historycznego. Mały kierunek, ale jakże wielki duchem – należałoby pomyśleć, ale – przyznaję – myśl taka wtedy się nie pojawiła. Pojawiła się zaś inna, nieco pokrewna: owa ‘małość’ wydała mi się wówczas nawet szlachetna, wręcz granicząca z dobrze pojętą elitarnością, wyjątkowością – zarazem szansą na specjalistyczne, ciekawe studia, poznanie naukowych indywidualności (co istotnie miało miejsce!).

Szybko okazało się, iż ta tak cenna dla mnie jakość „małego kierunku”, a właściwie jego specyfika, ma drobną skazę: nie pozwala się w prostym przekazie wyjaśnić klasowym koleżankom i kolegom pytającym, na jakich jesteś studiach. Oni byli na medycynie, na politechnice, filologii polskiej, archeologii – i to było czytelne. Na pytania kolegów początkowo odpowiadałem zatem po prostu: studiuje muzykologię. To na czym grasz? – padało niezmiennie pytanie (wiedzieli, że chodziłem do szkoły muzycznej, więc logiczna była kontynuacja tej ścieżki). Gram, ale nie o to tu chodzi. Więc o co? To taka wiedza o muzyce, historia muzyki – próbowałem nieporadnie opisać, co studiuje w oparciu o intuicję początkującego studenta, mając zarazem pełną świadomość, że nie do

końca, a nawet nie przede wszystkim o tę historię muzyki tu idzie. Ostatecznie, żeby nie wypaść całkiem błado (i – przyznaję – pokonany na ‘muzykologicznych szanćach’), mówiłem – zgodnie z prawdą, że gram i owszem – i to już był dla kolegów jakiś konkret: on po prostu gra, a niepotrzebnie gada jeszcze o czymś innym. Sprawa jest jasna. To po prostu muzyk.

Takie rozwiązywanie ‘problemu ontologicznego muzykologii’ i zarazem ‘problemu ontologicznego muzykologa’ okazało się nad wyraz praktyczne: zwykle szybko kończyło ono sprawę ‘zawodowej identyfikacji’. Gdy, już po studiach, ostatecznie takowe rozwiązanie przyjąłem, mówiąc, że jestem muzykiem – czułem zawsze jakąś ulgę: wszak trudno było bezskutecznie „wykręcać” sprawę w stronę jakiegoś i tak ostatecznie enigmatycznego dla rozmówcy pojęcia „muzykolog”. Korzystałem zatem z owego jakże uniwersalnego i genialnego w swej prostocie rozwiązania, choć odczuwałem tu niekiedy pewien dyskomfort (wszak jestem ostatecznie muzykologiem – powtarzałem sobie w duchu). Bywało, iż przyznanie się do grania kojarzyło się jednoznacznie (a obecnie coraz częściej): „a to pan gra na weselach?”, zaś dopiero przypadkowe (i rzadkie) ujawnienie uprawiania profesji muzykologa wywoływało niekiedy żywsze zainteresowanie, a rozmowa zaczynała wówczas być „twórcza”. Później, dużo później, uczucie lekkiego dyskomfortu niekiedy wracało, gdy w prospektach rozmaitych interdyscyplinarnych konferencji – obok licznego zastępu uwzględnianych profesji – brakowało często tylko... muzykologów. Czy za owym uczuciem dyskomfortu stały jakieś racje, czy było ono refleksem muzykologicznych kompleksów, egoizmu czy wręcz narcyzmu wszędzie szukającego potwierdzenia znaczenia i niezbędności dyscypliny? Ostatecznie kwestia ta przestała budzić we mnie jakiegokolwiek emocje: spowszedniała na tyle, by przejść nad nią do „porządku dziennego” i uznać za zwyczajną rzecz kolej.

I oto rzecz owa przywołana została ponownie i nieoczekiwanie przy lekturze okolicznościowego przemówienia Reinholda Brinkmanna. Zwłaszcza, gdy przypomniał zadane mu w wywiadzie pytanie, które sprowadzało się do kwestii fundamentalnej: „co robi muzykolog?” I tu olśnienie! Skądś to znam. Toż to mój (czy tylko mój?) problem sprzed lat! Gdy utrwały go powtarzające się zdarzenia, wydawał się coraz bardziej indywidualny, banalny, niemal urojony. A tu (obiektywne?) istnienie owego ‘problemu’ potwierdza ktoś taki, jak Brinkmann. Zatem „coś jest na rzeczy” (nota bene: odpowiedź Brinkmanna od mojej różniła się tak, jak powinna różnić się odpowiedź początkującego studenta muzykologii od jej profesora).

Pytanie muzykologa o istotę jego profesji i zapytywanie się muzykologa o własną tożsamość zbiega się być może z identycznym pytaniem, jakie dziś stawia sobie (w każdym razie

stawiać sobie – nieustannie – powinna) jego własna dyscyplina. W zakresie tego pytania mieści się też jedna z kwestii podstawowych: obecności muzykologii w przestrzeni publicznej, jej tu postrzeganie, identyfikowanie, ocenianie. Głos Brinkmanna postulujący silniejszą obecność muzykologii w tej przestrzeni jest tu symptomatyczny. Zadajmy jedno tylko pomocnicze pytanie: gdzie ktoś zainteresowany muzyką może spotkać uchwytnie świadectwa istnienia muzykologii? Czy na półce w MPiK-u znajdzie przystępnie napisaną książka o muzyce bądź muzyczny periodyk, czy będzie mógł poczytać stałą rubrykę publicystyki muzycznej w regionalnej czy lokalnej prasie, czy będzie mógł stać się słuchaczem interesującego cyklu wykładów o muzyce czy obejrzeć fachowo skrojony muzyczny program telewizyjny? Dokonania takie (więcej niż epizodyczne) stanowią izolowaną niszę, jaką w kulturze tworzy refleksja o muzyce zorientowanej artystycznie. Rzecz w tym, by weszły one do powszechnego obiegu kultury, by były w nim stale obecne i dostępne, by były integralną (wiodącą?) częścią kultury muzycznej, nie zaś kulturowym marginesem (dyscypliny znacznie bardziej hermetyczne i niszowe, jak: socjologia, filozofia, antropologia czy psychologia, potrafiły odnaleźć klucz do szerokiego kręgu odbiorców). Muzykologii – mającej nie mniej atutów - trochę brak odnogi pragmatycznej, gestu zaistnienia publicznego, jakiegoś instynktu szerszej obecności i przydatności w rzeczywistości kultury (mieli go obaj fundatorzy dyscypliny: Zdzisław Jachimecki i Adolf Chybiński), czegoś, co – czynione pod znakiem muzykologii – będzie nadal działaniem intelektualnie wyrafinowanym, ale przy tym uchwytnym i pożytecznym w szerszym społecznie wymiarze. Trochę brak ulokowania w publicznej (także, a może zwłaszcza: medialnej) przestrzeni intrygująco a zarazem czytelnie sformułowanych muzykologicznych dokonań, dylematów i kontrowersji (są ich całe ‘morza’), sensacji (a jakże), odkryć (wielkich i mniejszych) itd., brak ich ‘społecznego przełożenia’. Muzykologia niechętnie sankcjonuje w ten sposób stan rzeczy, w którym powszechną barierę poznawczą stanowi już nie tylko znajomość nut, ale nawet ogólna orientacja w muzyce, i w którym w żadnym razie – nawet w kręgach inteligencji – nie przynosi ujmy stwierdzanie (niekiedy nawet z dumą!), iż „ja się na muzyce nie znam”.

Od czego budowanie społecznej świadomości (i przydatności) muzykologii rozpocząć? Lekko (by nie przestraszyć), a treściwie (by zainteresować). Może – uwzględniając słuszny wiek dyscypliny, jej dziejowy moment i wynikającą stąd naturalność spojrzenia w przeszłość – od... nurtu pamiętnikarskiego (już widzę taką serię pod chwytliwym tytułem, firmowaną przez Sekcję Muzykologów ZKP). Czy jednak muzykologów stać na pisanie pamiętników? A może to wręcz powinność, by dzieje dyscypliny dokumentować także w takiej formie? Obok nurtu naukowego, który indywidualności badawcze honoruje w postaci *Festschriftów*. Pióro muzykologów mają

zwykle niezłe, a postaci, zagadnień, sytuacji, anegdot itd. do opisu z pewnością nie zabraknie. Niektóre z nich krążą po muzykologicznych opłotkach (będąc częścią indywidualnej, a niekiedy zbiorowej, muzykologicznej pamięci), a przecież to niezwykle cenna i ciekawa strona życia dyscypliny, którą tworzą wszak ludzie – zwani muzykologami (namiastkę tego rodzaju ‘opowieści’ dali nestorzy polskiej muzykologii w Radziejowicach). Czekamy zatem na pamiętniki i wspomnienia. Barwne, wiarygodne, interesujące, świetnie napisane, pełne wydarzeń i anegdot, ale też ważnych dla muzykologii i muzyki prawd i refleksji. Takie, by nie czytali ich jedynie muzykolodzy, ale by także innym umożliwiały wgląd w ducha naszej dyscypliny, w ‘muzyczne fascynacje muzykologów’. Czy może to pomóc w budowaniu tożsamości i zewnętrznej identyfikacji muzykologii? W jej szerszym, społecznym poznaniu, zrozumieniu i polubieniu? Może byłby to jakiś początek? Napiżemy. Poczytamy. Zobaczymy.

comes